

Śmierć wyzwala

AUTOR: MICHAŁ KASPEROWICZ

W Zbrodni i karze reżyserowanej przez Janusza Kijowskiego opowieści o życiu Marmieladowa i Swidrygajłowa to opowieści o banalności zła.

■ Dwa tomy, kilkaset stron drobnego druku. Szczegółowe opisy wnętrz, garderoby, przedmiotów. Psychoanalityczne refleksje postaci pierwszo- i drugoplanowych. Także narratora. Gąszcz słów/znaczeń bardziej i mniej istotnych. *Zbrodnia i kara* Fiodora Michajłowicza Dostojewskiego, napisana w 1866 roku, jest całością zamkniętą, doskonałą. Ale *Zbrodnię i karę* można/należy też przeczytać przez doświadczenia, emocje własne, przez swoje postrzeganie świata-miejsca, czasu, akcji. I ludzi.

Powieść wielokrotnie była przenoszona na scenę. Z różnym skutkiem, jednakowoż zawsze zubożona. Janusz Kijowski po półtorarocznej pracy nad tekstem zaproponował trzy odnazwiskowo zatytułowane duodramy: *Marmieladow*, *Swidrygajłow*, *Porfiry Pietrowicz*. Łącznikiem koniecznym jest „rozszczepienie” Rodion Romanowicz Raskolnikow.

„W naszych czasach »współczucie« zostało zakazane nawet przez naukę... i tak już się dzieje w Anglii, gdzie panuje ekonomia kapitalistyczna, że »współczucia« już nie ma. Szlus!” – mówi Marmieladow, pijak i degrengolada, do Raskolnikowa, studenta prawa i mordercy. Słowa te mogłyby paść zawsze i wszędzie. Także w Polsce. Współczesnej Polsce.

Współczucie, empatia, pomocnictwo, bycie dla drugiego to – mimo wszelkich deklaracji wspólnotowych, tożsamościowych – zjawisko/towar raczej niezwykle deficytowy. Podobnie jak słowo, symbol, znak – Solidarność. *Zbrodnia i kara* w inscenizacji Kijowskiego to opowieść o lichej kondycji etycznej człowieka. *Ecce homo* – oto człowiek. *Ecce homo?*...

Licha kondycja etyczna – straszne, niejednokrotnie tragiczne, niekiedy zbrodnicze. Ale i nieoczywiste. Jak każde uogólnienie, ma całkiem spore migotliwe marginesy. Dla inności, odmienności – normalsi, pozbawieni dobrej woli, nie okazują zrozumienia. Bo to się w gło-

wie nie mieści. Za to niekiedy lichota podpada pod kodeks karny.

Marmieladow kreowany przez Artura Sterankę budzi sympatię. Wbrew nazwisku, którym złośliwie obdarzył go Dostojewski, wbrew wygadywanym głupotom, wbrew czynom niechwalebnym, wbrew alkoholizmowi i pijackim złodziejstwom. Portret namalowany przez Sterankę jest werystyczny. Kiedy się przewraca, to przewraca bezpodpórkowo (prawie). Zatacza ze smutnym bezwzdziękiem. Monotonne pijackie bujawki kontrpunktuje Steranko zdaniami wypowiedzianymi serio: „Koniecznie trzeba, żeby każdy człowiek mógł choć... dokąd-

życia, dżentelmen ze zużytej kliszy. Laseczka, cylinder, bogata szuba – atrybuty jaśniepaństwa. Jurkiewicz gra go powściągliwie, nawet z pewną dozą wyniosłości. Tak jakby wierzył w liczne, zmienne, samochwalebne, tylko nieco krytyczne samooceny owego bohatera. Z poszczególnych zdarzeń/opowiastek wyłania się jednak postać marniutkiego formatu. W istocie Swidrygajłow prowadził życie nieczne: karcięta, wojażyki, panienki, oszustewka, żyćko wesołe, swidrygajłowe – kosztem innych, zwłaszcza kobiet. To, co odrzucił, uświadamia mu Raskolnikow: „Przecież pan to wszystko zmyśla! Wszystko, żeby moją siostrę zdobyć i też

***Spiritus movens* działań i zaniechań wszystkich antybohaterskich bohaterów tego spektaklu jest Kobieta. Piękna Sonia, ukochana Raskolnikowa, która prostytuuje się dla zaspokojenia alkoholowych potrzeb tatusia Marmieladowa.**

kolwiek pójść...”. Tyle dróg, a nie ma dokąd iść. Samotność bezwzględna: „Tego waszego kiwania głowami nie biorę sobie do serca”. Tak jest i basta.

W roli Steranki jest apoteoza człowieczeństwa. Ułomnego człowieczeństwa. Tak ułomnego, że zakończonego zgonem. Ale nawet po śmierci Marmieladow uśmiecha się, gdy Raskolnikow wsuwa mu do kieszeni dziesięć rubelków. Na flaszeczkę. A może i dwie. Na kolejne stakańczyki. I jakże tu takiego heroicznego pijaka nie lubić... Świetna rola, zagrana nieco w poprzek Dostojewskiemu.

Część druga spektaklu też kończy się nieboszczykiem. Swidrygajłow (Grzegorz Jurkiewicz) strzela sobie w łeb. Pan pełną gębą. Król

ją ukatrupić... jak jaką lichwiarkę. Nie!”. Tak jak Marmieladowa zabiły/wyzwoliły pijane wyrzuty sumienia wobec córki Soni, tak Swidrygajłowa pozbawiła życia pustka/okrucieństwo pozornie barwnego życia. I pogarda dla samego siebie. Palnąć sobie z rewolweru w głowę. Wspaniałe, niepiękne wyzwolenie przez śmierć.

Opowieści o życiu Marmieladowa i Swidrygajłowa to opowieści o banalności zła. I zwykłości towarzyszącej mu śmierci. Skala zła jednego i drugiego mieści się w normach tego świata. Ale nijak ma do etyki Platona i nauczania Jezusa. Ot, żyźń.

Część trzecia – *Porfiry Pietrowicz*. W typowym podziale zły/dobry policjant Maciej My-

dlak (Porfiry) jest tym drugim: „Zawód sędziego śledczego – w istocie zawód wolnego artysty, nie sądzi pan? Już taki trefniś ze mnie”. I takim kreśli go Mydlak. Choć nie całkiem, w istocie sędzia jest człowiekiem byстрым, dociekliwym. Mydlak co pewien czas w poszczególnych kwestiach, prawie żarcikach podszytych sadyzmem, podkreśla swoją wiedzę o zbrodni. Kot bawi się myszą, choć tak naprawdę łapami kruszy jej ciało przed pożarciem. Zmusza Raskolnikowa do przyznania się. Mysz w pułapce, mysz, która żyła w przeświadczeniu, że jest nadmyszą, nadczłowiekiem. Mysz krzyczy: „Chciałem okraść lichwiarkę. A zabiłem dwie kobiety. To ja zabiłem tę przeklętą staruchę!!!”.

Raskolnikow (Dawid Dziarkowski) w miarę upływu czasu przedstawienia i czasu życia bohatera – dorósł. Dorasta do Nietzscheańskiej konstatacji: „Człowiek jest c z y m ś, co pokonanym być powinno!”. Bo kimże jest człowiek? Pyłkiem, prochem, puchem, którymi wiatr dowolnie pomiata. Czy jest, czy go nie ma – nieistotne. Świata i tak toczy się dalej bezkształtną bryłą zwaną społeczeń-

stwem. Dziarkowski ładnie przebudowuje Raskolnikowa – studenta chudzinę – w nadczłowieka, którego wolna wola nie zna żadnych ograniczeń. Supermen zła pokonany przez racjonalnego policjanta. W finałowym monologu Raskolnikow mówi do ukochanej Soni, ukrytej gdzieś na widowni: „Banalna prawda, jak jest zbrodnia – to musi być i kara”. Szkoda, że w XXI wieku ta prawda zrelatywizowana została do granic nieprzyzwoitości. Przyzwoitość też w zaniku. W dobie naszej wszystko jest możliwe – zło staje się dobrem, kłamstwo tzw. postprawdą. Raskolnikow rozwalił siekierą czaszkę odrażającej, bezwzględnej, nieludzkiej lichwiarce. Dobry uczynek? Nie, absolutnie nie. Powędrował na zsyłkę i miał to szczęście, że nie budowano jeszcze Biełomorkanału.

W olsztyńskiej *Zbrodni i karze* występuje tylko czterech wymienionych aktorów. Plus tajemnica na widowni. *Spiritus movens* działań i zaniechań wszystkich antybohaterkich bohaterów jest Kobieta. Piękna Sonia, ukochana Raskolnikowa, która prostytuuje się dla zaspokojenia alkoholowych potrzeb

tatusia Marmieladowa: „Własną rączką odliczyła trzydzieści kopiejek, wszystko co miała, wziąłem. Alfonsem byłem”. Są jeszcze matka i siostra Raskolnikowa. Materialnie nieobecne na scenie, fizycznie obecne na widowni. Niektóre monologi, także finałowy, Raskolnikow zamknięty punktówką wygłasza wprost do nich. Do kobiet niewinnych i czystych jak Sonia. Czysty feminizm... I bardzo dobrze. Rozmowa o wyższości kobiety nad mężczyzną jest konieczna i nieunikniona. Bez gładzenia o tzw. równouprawnieniu. I to jest jedyny jasny akcent tego mrocznego przedstawienia. Zasady zabite, zło wszechobecne, ludzie pomordowani, nic tylko się samemu obwiesić! Albo zawierzyć Kobiecie bez zastrzeżeń i grymasów. Taka postawa/ideologia. Jestem za.

Odbiór spektaklu utrudnia scenografia, organizacja przestrzeni. Scena Kameralna olsztyńskiego teatru jest niewielka; realizatorzy zamarkowali na niej wszystkie pomieszczenia detalicznie opisane w powieści. Powstał labirynt. Kto na świeżo nie przeczytał *Zbrodni i kary*, może nie nadążyć za zmianą miejsc i przewodnią nić gubić. ■